

## Gęganie toruńskich gęsi

Toruński spektakl poświęcony jest Radiu Maryja i przyznać trzeba, że „obsługuje” fenomen tego medium kompleksowo. Marcin Kącki opiera swój tekst na kilku narracjach jednocześnie, poruszając kwestię mowy nienawiści, sączącej się z anteny i jej skutków (wątek rwandyjski), wykorzystywaniu słuchaczy przez cwanego, bezwzględnego, ukrywającego się w skórze owieczki Pana, biznesmena (wątek radia od środka) oraz przyczyn, dla których słuchacze RM w ogóle słuchają radia (wątek nieszczęśliwej słuchaczki). Te główne narracje zawierają w sobie z kolei – niczym rosyjskie babuszki – mniejsze, że wymienię tylko opowieść Zuzanny Ginczanki (kwestia wydawania Żydów gestapowcom), przyjaźń Ojca Dyrektora z ministrem (wątek uprawiania przez radio polityki), surrealistyczne wizyty perorującego po niemiecku Hitlera (fasyzm niemiecki), czy zapożyczony od Dostojewskiego wątek milczącego Chrystusa, który zostaje wygnany z ziemi przez „*Wielkiego Inkwizytora*”, tym razem tego toruńskiego. Zawiedzie się jednak ten, kto spodziewa się na scenie Horzycy zbudowanego na owych narracjach wielopoziomowego spektaklu. „*Wróg się rodzi*” bowiem to nic innego, jak zaangażowany spektakl publicystyczny z tezą. Sprowadza się ona w gruncie rzeczy do dawno postawionej już w mediach diagnozy, że Radio Maryja to biznesowo-polityczny projekt, posługujący się nienawiścią, której dalsze tolerowanie stanie się przyczyną społecznego nieszczęścia (przykładem Rwanda i przedwojenne Niemcy). Ot, takie „gęganie” toruńskich gęsi w celu uratowania nadwiślańskiego Rzymu.

Zgoda, że niezwykle w Polsce potrzebne – dowodami na to są choćby skandaliczna faszystowska wypowiedź uwielbianego przez Rydzyka senatora Biereckiego, że on i jego partia nie ustana, „*nie doprowadziwszy do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej*” czy dowolna „publicystyczna” audycja w Radiu Maryja. Uważam jednak, że forma i treść toruńskiego przedstawienia nie pozwalają niestety na potraktowanie go inaczej, jak tylko wzruszeniem ramion. Teza wprawdzie słuszna, ale dawno już udowodniona, do tego w wielu przypadkach w sposób znacznie bardziej logiczny i precyzyjny. Nie mówiąc już o tym, że spektakl ma przekonać przekonanych, gdyż po tautologicznej wobec treści przedstawienia kampanii medialnej teatru żaden z wyznawców lub sympatyków RM w Horzycy się po prostu nie pojawi.

Tekst Kąckiego pokazuje, że autor nie bardzo rozumie teatr. Zamiast stworzyć bohatera, który to wszystko „pociągnie”, układa swój tekst w mozaikę spraw i poświęconych im wątków, mających udowodnić tezę, że Radio Maryja to czyste Zło. Na początku bohaterami są więc dziennikarze z Rwandy, potem porzucamy ich i mamy na scenie Rydzyka z Księdzem, by w finale przeskoczyć do mieszkania samotnej i opuszczonej przez synów (a jakże!) słuchaczki Radia. Symbolem tej nic nie wnoszącej teatralnie struktury są scenograficzne miejsca akcji – kubiki jeżdżące po scenie. Jeden wjeżdża na scenę, zapala się światło i mamy akcję, potem to samo z innym, wyciemnienie i znowu wraca pierwszy. I tak do końca – raz tu, raz tam. Na przecięciu tych narracji powinno się coś dziać, niepotrzebne by było wtedy wprowadzanie następnych, pretensjonalnych do bólu i tandetnie pokazanych wątków Ginczanki, Hitlera czy Chrystusa.

Kolejnym grzechem autora są rażące niekonsekwencje. Cóż z tego, że słuchaczka Radia Maryja, której poświęcony jest jeden z głównych wątków, ukazana jest z sympatią i zrozumieniem (chyba jako dowód, że twórcy piętnują jedynie Ojca Dyrektora i jego współpracowników), skoro kilkadziesiąt minut wcześniej mamy na scenie kilku słuchaczy RM, kompletnie obśmianych i ukazanych jako symbole skrajnego serwilizmu i debilizmu. To w końcu oskarżamy, czy bronimy ofiar Rydzyka? Innym przykładem serialowy, nieznośny wątek brata księdza, obowiązkowo (a jakże!) geja, który to ksiądz w finale okazuje się – w realistycznej, o zgrozo!, konwencji – jakimś swoim przeciwieństwem, czy wątpliwa polityczna przynależność partyjna ministra (w 2010 r. to chyba PiS nie rządził).

Najbardziej jednak przykrą dla widza obsesją autora jest wiara, że wszystko w jego tekście jest tak samo ważne, w związku z tym musi to być odegrane nabożnie, z celebracją i dokładnie, niczym mansjony liturgicznego misterium. Wygląda to tak, jakby autor nie wierzył w publiczność i w jej zdolności percepcyjne. Kończy się to niepotrzebnymi scenami, które mogłyby trwać dwie, a nie czterdzieści minut, skracając nieznośnie długie, męczące przedstawienie z czterech godzin dziesięciu minut do półtorej godziny, co w żaden sposób nie zmieniłoby jego nieskomplikowanej wymowy. Przykładem nieznośna, grafomańsko napisana część poświęcona Rwandzie. To prawie godzina, której mogłoby nie być – wystarczyłby informacyjny tekst z rzutnika na ścianę i zdjęcia z Rwandy, a efekt byłby ten sam. Realistyczne bowiem sceny ze studia Radia Tysiąca Wysp pełnią bowiem jedynie funkcję informacyjną, nie wnosząc do spektaklu absolutnie nic nowego. Sceny w Radiu Maryja również zlewają się w jedną, cały mechanizm Rydzykowej manipulacji można by znów pokazać w pół godziny, oszczędzając cenny czas widza.

Aneta Groszyńska dwoi się i troi, żeby zarzucać nas scenicznymi atrakcjami, ciężko jednak przez cztery godziny mówić ze sceny o czymś, czego wystarcza na godzinę. Nie pomaga jej też chaos konwencji, przywoływanych w spektaklu. Niby jest realistycznie, ale nagle, ni stąd ni zowąd, pojawiają się: kabaret, standup, dramat psychologiczny, telenowela czy wreszcie metafizyczny musical. Reżyserka z uporem brnie w ten stylistyczny labirynt, skupiając się na prowadzeniu wątków i wymyślaniu ciekawych pomysłów inscenizacyjnych (np. motyw karpia). Całości nie da się jednak uratować, bo pogubiony widz nie ma szans zorientować się, kiedy jest na poważnie, a kiedy “beka”. W związku z tym nie wiem na przykład, czy aktorzy grają dobrze czy źle, bo nie widać, co mieli właściwie grać. Perkowski czy Walesiak grali świetnie, ale nie mam przekonania, czy istniała jakaś koncepcja ich ról w całości, czy tylko „robili” konkretną scenę po scenie. Teresa Stępień-Nowicka miała szansę na wielką kreację w roli Matki, słuchaczki Radia, niestety, jej postać została sprowadzona do wilanowskiego stereotypu na temat prowincjonalnej kobieciny spod Garwolina – taka biedna, bo synowie się żrą i jej nie odwiedzają. Trudno tu coś sensownego zagrać, choć Stępień-Nowicka i tak najbardziej wryła mi się w pamięć.

Marzy mi się taki spektakl o Radiu Maryja, który pokaże jego słuchaczy, nie pozbawiając ich godności. Krytykując ich naiwność, weźmie ich w obronę – wszak bycie ofiarą manipulacji wyrachowanego, religijnego hochsztaplera jest oznaką słabości, a słabość drugiego człowieka powinna spotkać się z empatią i zrozumieniem. Marzy mi się spektakl o Radiu Maryja, który pokaże cyniczną, obliczoną na zysk manipulację toruńskiego sybaryty nie poprzez

inscenizację „*Rozmów niedokończonych*”, ale poprzez głębokie, znakomicie napisane, niejednoznaczne postaci, dalekie od standupowych wygłupów i papierowego szelestu stereotypowych cech. Marzy mi się spektakl, w którym przerażę się Ojca Dyrektora i jego metod, i nie trzeba mi będzie pokazywać – nieudolnie zresztą – Rwandy 1994, żebym uwierzył, że nienawiść może ją w Polsce powtórzyć. Niestety, na razie takiego spektaklu nie ma. Jest ten Marcina Kąckiego i Anety Groszyńskiej. Gęganie toruńskich gęsi – ani głośnie, ani odkrywczе, ani przekonujące.

**Tomasz Domagała**

domagalasielkultury.pl

13.04.2019